

## Moja Ameryka

Ameryka! Wiewowce, wesole, ladne twarze, ped zycia. To moje pierwsze skojarzenia dziewietnastolatki. Twarz matki, pelna elegancji, wielkiego swiata, osnuta cieniami drapaczy chmur lecz zazaca pelnia bialego, radosnego slonca odbijajacego sie figlarnie od niebieskich skrzynek pocztowych, kwiaciarni, tlumow i wielkiego optymizmu lat siedemdziesiatych; to przezrocza utrwalone w mojej dzieciecej glowie. Jakiz kontrast miedzy Polska lat osiemdziesiatych dopiero budzacej sie ze swojej szarosci.

“Parlez -yous Francais?” – uporczywie dopytuje sie obslugi samolotu na trasie Detroit-Kalamazoo. Przeraza mnie mysl ze moge leciec nie w tym kierunku co powinnam, ale miast odpowiedzi dostaje usmiech. Mit iz kazda stewardesa musi wladac obcymi jezycami zostaje blyskawicznie obalony. Laduje z dusza na ramieniu.

Kalamazoo, male miasteczko uniwersyteckie polozone w Michigan, niczym nie przypomina Ameryki z przezroczy Matki ani filmow Kojaka. Drapacze chmur zastepuja brzydkie drewniane domy, bez spadzistych czerwonych dachow, bez okien z bialymi firankami i donicami pelargonii. Cisza zalegajaca miasteczko jest obezwladniajaca. Zewszad wieje nuda. Jedyna popularna rozrywka wsrod studentow tamtejszych uniwersytetow i uczelni sa piatkowe glosne jazdy samochodami. Nie ma kawiarenek ani parkow, sa za to korty tenisowe. Jak mlodziez spedza wolny czas, nie wiem. Trzeba miec dwadziescia jeden lat by moc tanczyc, gdyz wszedzie serwuja alkohol.

Ktos nas zaprasza do siebie. Siadamy przed telewizorem, znajomosc szybko sie urywa. Mamy po dziewietnascie lat. Wchodzimy w swiat starej emigracji, uciekajacej do Iraku z armia generala Andersa. Sluchamy muzyki z lat nam nieznanych, wsluchujemy sie w polityczne debaty, biernie uczestniczymy w odbudowywaniu nowego rządu. Obsadzone sa stanowiska premiera, wice premiera. Przyjezdza ktos wazny z Kanady, pretendujacy pozniej do stanowiska prezydenta Bialorusi; przyjezdza dzialacz Solidarnosci z dlugimi wasami, rownie obcy. Jesteśmy zagubieni.

Z ciekwosci udajemy sie do polskiego centrum w Chicago. Przechodze prze ulice; mlodziutka, wdzieczna, w wykrochmalonej bluzeczce z kolnierzykiem. “Polish sh...t” dochodzi do mnie od zataczajacego sie mezczyzny. Czujze zarzace policzki do dzis. Za te slowa, za tamtejsza rzeczywistosc udajaca polska. Udajaca gdyz nigdy sie z taka nie spotkalam w swoim kraju.

Na ulicach kroluja panny lecace na poranne wyklady z mokrymi glowami bez wzgledu na pore roku, panie rozwijajace walki z glowy na biurowym parkingu. Jest to nie do pomyslenia dla kogos elegancko ubranego i uczesanego nawet do smietnika, gdzie a nuz mozna natknac sie na kogos znajomego. Krece glowa z niedowierzaniem nie czujac i nie rozumiejac ich wyzwolenia. Wiele lat uplywa nim zaczynam doceniac te wiare w siebie i lekkosc bytu. I mimo iz nigdy udaje mi sie poznac Ameryki mojej Matki, tej wielkiej, tetniacej zyciem i buchajacej energia Nowego Jorku ktora jak magnez przyciagalala ze zdjec to udaje mi sie rozkochac i Ja i siebie w mojej wiejskiej, monotonnej Ameryce. A zaczelo sie tak jak w przyslowiu - Przez zoladek do serca. Moja Ameryka odkryta po dwudziestu latach pobytu budzi sie w czerwcu i pachnie truskawka, szpinakiem i rabarbarem. Z niecierpliwoscia oczekuje dnia gdy bede mogla zlapac swoje maluchy pod pache i popedzic na pobliska ferma, gdzie wywioza nas traktorem w pole, wrecza koszycki i pokaza gdzie mozna zrywac truskawki. Slonce

jeszcze nie prazy tak silnie, jeszcze wytrzymujemy bez polewania sie zimna woda. Dom tonie w truskawkach; maz nie wychowany w polskiej kulturze odwraca glowe od pierogow czy makaronu ze smietana i truskawkami. Ciasto rabarbarowo truskawkowe posypane kruszonka wedlug fermowego przepisu robi wsrod wszystkich furore. Domowe gofry, obsypane plasterkami truskawek i polanymi bita smietana oraz syropem klonowym, serwowane niemalze codziennie na sniadanie, powoduja glosne mlaskanie i oblizywanie palcow na ktore nikt juz nie zwraca uwagi. Panuje wiosna i radosc w sercach.

Zaraz wakacje, zaraz uciekamy z upalnej Ameryki by powrocic z radoscia do soczystych pomidorow z bazylia i swieza mozzarella, do spalonych sloncem papryk, kalafiorow, baklazanow i brokol. Zaczynamy co tydzien kisic ogork na polska modle, ktorych zielen uprzytulnia cala obszerna kuchnia dajac poczucie dostatku i stabilnosc. Dom pachnie czosnkiem i swiezym koprem. Co chwila czyjas lapa siega do szklanego dzbana. Koledzy starszych synow nawet nie pytaja czy mozna tak staje sie to oczywiste.

Upal doskwiera, marzymy o lodach od Grycana, o dziesieciu kuleczkach o wyuzdanych smakach na jednym wafelku. Nawet nie zachodzimy do tutejszych lodziarni by dostac jedna ogromna galke. By zabic tesknote za Warszawa i uciec od klimatyzowanego domu pedzimy na basen. Lato uplywa nam miedzy Polska, farma a basenem, na ktorego terenie znajduje sie jedyna w okolicy piaskownica. Jest ona namiastka Parku Ujazdowskiego, gdzie codziennie gromadza sie tlumy dzieci i rodzicow z roznych stron swiata. A dzieje sie tak ze wzgledu na bliskosc ambasad. Pobyt z dziecmi w takiej piaskownicy daje mozliwosc ciekawych rozmow i podpatrzenia modnych trendow. Sadowie sie na lawce przy swojej amerykanskej piaskownicy i pochlaniam glowe w lekturze. Sama, wszedzie sama. Nie podnosze wzroku na pulhne panie w szarych, nieciekawych kostiumach, nie kusi mnie parowka czy pizza z basenowego barku, chrupki kukurydziane oblane serowym sosem. Nostalgie przerywa krzyk dzieci. Powracamy do kapieli, tam juz razno i wesolo, znow jestem w swojej Ameryce.

Szkola, rejwach powrotow. Odliczamy dni do trwajacego dwa miesiace "Jesiennego Festiwalu" Na polach dojrzewa kukurydza – krolowa sezonu; pojawiaja sie dynie i cukinie. Pomidory pekaja w szwach. Zabawa zaczyna sie na dobre. Co weekend, na fermie, zbieraja sie tlumy by skosztowac prawdziwej lemoniady serwowanej w pollitrowych kubkach; kukurydzy prazonej na slodko-slono w zeliwnym kotle, podawanej na goraco w dlugich workach czy hamburgera z grilla. Sa kucyki dla najmniejszych, jak rowniez kozy, lamy i baranki. Karmimy je pasza z kukurydzy, dajac sie lizac i popychac. Skaczemy po blokach siana i taplamy sie w piaskownicy wypelnionej ziarnami kukurydzy. Z trudem znajdujemy dla siebie miejsce.

Co godzinie wiwatujemy dyniowej armacie strzelajacej do starego samochodu stojacego gleboko w polu. Zatykamy uszy, skaczemy z radosci gdy trafi. Zabawa wre.

Kombajn, marzenie mojego synka, wywozi nas w pole, gdzie pod koniec jesieni mozemy podziwiac polmetrowe dynie leniwie chowajace sie pod zielonymi liscmi. Zar jeszcze leje sie z nieba, ale zaczynamy czuc ulotnosc chwili, wiedzac ze zaraz nadejdzie ta prawdziwa, zimna jesien. Delektujemy sie kazdym weekendem. Przed budynkami pojawiaja sie pierwsze bloki siana, ozdobne stogi z lisci kukurydzianych, barwne chryzantemy (o ilez radosniejsze od naszych polskich, cmentarnych) i dynie. Wybieramy sie w pole traktorem by zerwac te nasza, ktora stanie przed wejciem do naszego domu w oznace gotowosci do odleglego jeszcze swieta Halloween. Kladziemy dynie na wozek

Radio Flyer, inaczej nie doszlibyśmy do samochodu. Dom zmienia wystroj, staje się żółto-pomarańczowy, ciepły.

Pojawiają się jabłka. Pobliskie sady przescigują się w reklamowaniu swoich gatunków. I znowu traktor wywozi nas do najbliższych drzew. Zrywamy maniacko ciesząc się jak dzieci. Orzeźwiamy się świeżo wycisniętym sokiem jabłkowym oraz jabłecznymi ciastkami obsypanymi cukrem i cynamonem.

Powoli robi się chłodno. Ostatnie wyprawy na fermę kojarzą się już z zębionymi palcami otulającymi kubek z gorącym sokiem jabłkowym. Znika sprzedawca pralonej kukurydzy, znikają muzykanci. Piaskownica ziębi lodowatymi ziarnami. Żegnamy lato, żegnamy jesień. Jeszcze przez trochę będziemy cieszyć się żółtymi, wesołymi chryzantemami szarganymi przez wiatr i ulewne deszcze na tarasie. I znowu udaje się wypełnić luke po warszawskich straganach ociekających czereśniami, ogorkami, sliwkami; po beczkach pełnych soczystej kapusty czy rozłożonych na gazetach słoików spadziowego miodu. Podświadomie szukam choć namiastki Polski, tej z dzieciństwa, tej radosnej i bezpiecznej tworzącej dom nietypowy, lubiany przez wszystkie pokolenia, pełen ciepła i jak zawsze dobrego jedzenia. Na koniec roku staje w nim choinka, koniecznie z krótkimi igielkami i zadkami gałązkami, tak jak w domu...